

Artur Grzelak\*  
**Widmowa muzyka**

Pomimo zmęczenia spowodowanego wielogodzinną podróżą cieszyłem się, że w końcu dotarłem do Arkham. Już zmierzchało, więc prosto z dworca, zgodnie ze wskazówkami wuja Bradleya, udałem się na leżącą niedaleko Sentinel Street. Tam odnalazłem kamienicę należącą do Garetha Wormgate'a. Olbrzymi, ceglany, dwupiętrowy budynek o zdobionej fasadzie górował nad mniejszymi domkami mieszczącymi się w okolicy.

Właściciela zastałem na wejściowych schodach, zajętego rozmową z młodą, niezwykle urodziwą damą. Przedstawiłem się i wręczyłem mu list, który otrzymałem od wuja.

—Ach, to ty jesteś bratankiem Bradleya. Pokój jest gotowy, chociaż spodziewałem się ciebie trochę później. Semestr zaczyna się dopiero we wrześniu.

—Przyjechałem wcześniej — wydukałem onieśmielony obecnością kobiety. — Chcę poznać miasto i okolicę, oswoić się z nowym miejscem przed rozpoczęciem nauki.

—Rozumiem. Ale nie będę mógł dotrzymać ci towarzystwa. Wyjeżdżamy z Carol do Bostonu. Gdzie moje maniery? — zachnął się mężczyzna. — Pozwól, że ci przedstawię. To Carol Lafferty, moja narzeczona.

Kobieta dygnęła dystyngowanie i posłała mi olśniewający uśmiech. Chcąc ukryć rumieniec, pochyliłem się i zgodnie z obyczajem pocałowałem ją w rękę.

—Miło mi poznać. Nazywam się Clint Wilcox.

—Wejdźmy do środka. Robi się już ciemno, pewnie też zgłodniałeś po podróży. Zjemy coś i opowiesz, co słyhać u mojego starego druha Bradleya.

\*\*\*

\* Artur Grzelak — ur. 1987 w Warszawie, zamieszkały w Płońsku; magister zarządzania pracujący w branży motoryzacyjnej. Nałogowy czytelnik fantastyki i książek historycznych.

Pozostałą część wieczoru spędziliśmy, zajadając pyszne ciasto dyniowe, pijąc aromatyczną herbatę oraz rozmawiając. Gareth Wormgate wspominał czasy, kiedy służył w wojsku z moim wujem oraz opowiadał o prowadzonym przez siebie interesie. Handlował przeróżnymi towarami, od dzieł sztuki po futra. Wyjeżdżał właśnie do Bostonu, aby dopilnować najnowszego transportu płynącego z Europy.

Kamienica w Arkham, w której miałem mieszkać, była jedną z jego licznych nieruchomości. Na parterze znajdowała się apteka oraz niewielka cukiernia prowadzona przez starsze małżeństwo o nazwisku Higgins. Oprócz mnie nikt nie wynajmował w tej chwili pokoju. Pan Wormgate spodziewał się kolejnych lokatorów dopiero we wrześniu, kiedy studenci rozpoczną naukę na Uniwersytecie Miskatonic.

—Co zamierza pan studiować? — spytała panna Carol, podchodząc z dzbankiem pełnym herbaty. — Może dolewkę?

—Nie dziękuję. Wybrałem antropologię.

—Różne rzeczy opowiadają o tutejszym uniwersytecie — wtrącił pan Gareth, zapalając papierosa. — Profesorowie są uznawani za niezłych świrów.

—Niektóre wydziały mają najlepszą kadrę pedagogiczną w całych Stanach — odpowiedziałem. — Dlatego też zdecydowałem się na Arkham.

Podziękowałem za kolację, a pan Wormgate zaprowadził mnie do pokoju. Znajdował się na pierwszym piętrze kamienicy. Oprócz łóżka, szafy, biurka i niewielkiego stolika nie było w nim nic więcej. Niewielkie okno wychodziło na Sentinel Street.

—Rozgość się. Wyjeżdżamy wczesnym rankiem, więc pewnie się już nie zobaczymy. Wrócimy za około miesiąc, kiedy rok szkolny rozpocznie się na dobre. Gdybyś miał jakichś znajomych na studiach pytających o stancję, wysyłaj ich do pana Higginsa, dopóki nie wrócę. A poza tym czuj się jak u siebie. Toaleta znajduje się na piętrze, kuchnia na parterze, korzystaj do woli.

Wręczyłem panu Garethowi kopertę z czynszem za najbliższe pół roku oraz jeszcze raz podziękowałem. Kiedy wyszedł, rozejrzałem się po pokoju. Wyglądał całkiem przytulnie. Postawiłem walizkę pod ścianą, postanawiając rozpakować się rano. Otworzyłem okno, noc była ciepła i bezchmurna. Rozebrałem się i położyłem na łóżku. Skrzypnęło pod moim ciężarem, ale było miękkie i wygodne. Usypiając, usłyszałem cichą muzykę. Byłem zbyt zmęczony, żeby się zastanawiać nad jej źródłem. Znużony podróżą zamknąłem oczy i po chwili zasnąłem.

\*\*\*

Kiedy się obudziłem, słońce stało już wysoko na niebie. Przemyłem twarz, ubrałem się i zszedłem na dół. Pan Wormgate oraz panna Lafferty już wyjechali, w kuchni zastałem jedynie starszą panią. Jak się domyśliłem, była to właścicielka cukierni, pani Higgins. Przedstawiłem się i opowiedziałem o celu przybycia. Staruszka początkowo obserwowала mnie podejrzliwie, ale po chwili uśmiechnęła się i poczęstowała świeżo upieczonymi maślanymi bułkami. Zawołała również męża. Pan Higgins, mimo podeszłego wieku, był postawnym mężczyzną o wciąż ciemnych, przyprószonych delikatną siwizną, włosach. Mocno uściskał moją dłoń i powitał w Arkham. Popijając kawę, opowiedział mi o miejscach, które warto odwiedzić w mieście, a kiedy jego małżonka wyszła na chwilę do cukierni, zaprosił na kieliszek czegoś mocniejszego. Podziękowałem i obiecałem, że wpadnę wieczorem.

Opuściłem kamienicę i wyruszyłem na obchód miasta. Najpierw, zgodnie ze wskazówkami pana Higginsa, udałem się w stronę uniwersytetu. Jego gmach był olbrzymi, otoczony mniejszymi budynkami kampusu. Nie mogłem doczekać się już rozpoczęcia studiów. Na razie szkoła była zamknięta, trwały jeszcze wakacje. Jedyne osoby, jakie widziałem na jej terenie, byli ogrodnicy i konserwatorzy prowadzący prace porządkowe.

Następnie przeszedłem się Main Street, pełną sklepików, kramów i stoisk. Zauważyłem między innymi jadłodajnię, do której zamierzałem wstąpić w drodze powrotnej. Zostawiając za sobą pełną zgiełku ulicę, skręciłem na północ ku rubieżom Arkham. Przeszedłem kilkaset metrów i dotarłem do rzeki Miskatonic, od której nazwę wziął mieszczący się w mieście uniwersytet. Przespacerowałem się wzdłuż jej brzegu, docierając do wschodnich rogatek miasta i dzielnicy zwanej French Hill. Pan Higgins dobrze wytłumaczył mi drogę. Dotarłem prosto do kolejnego celu wycieczki: pochodzącego jeszcze z siedemnastego wieku kościoła baptystów. Podziwiając piękne zdobienia budowli, wszedłem do środka i zmówiłem krótką modlitwę.

Kiedy wyszedłem, niebo zasnuły ciemne deszczowe chmury. Spojrzałem na zegarek, było po szesnastej. Postanowiłem wrócić na Main Street, bo mój żołądek domagał się posiłku. W jadłodajni, którą wcześniej mijałem, serwowali dzisiaj żeberka w polewie miodowej. Zamówiłem sobie jeszcze herbatę. Spożywając posiłek, pobieżnie przejrzałem leżący na stoliku numer *Advertisera*, lokalnego dziennika.

Najedzony wyszedłem z lokalu i pospieszyłem w stronę Sentinel Street. Chmury były coraz ciemniejsze. Kiedy byłem w połowie drogi, niedaleko cmentarza, zaczął padać deszcz. Początkowo niewielka mżawka przeradzała się w coraz większą ulewę. Nie miałem ze sobą parasola, więc zacząłem biec w stronę kamienicy.

Zmęczony i przemoczony dotarłem do schodów akurat, kiedy pan Higgins zamykał aptekę. Zawołał mnie do środka i zaprosił na zaplecze. Sięgnął do jednej z rozlicznych szafek i wyjął z niej butelkę whiskey.

—To cię rozgrzeje — powiedział, rozlewając trunek do szklanek.

Skończyło się na tym, że wypiliśmy całą butelkę. W tym czasie pan Higgins wspominał swoją młodość oraz życie w Arkham. Opowiadał o historii i dziwnych wydarzeniach mających miejsce w pobliskim Innsmouth i Dunwich. Policja podejrzewała, że w okolicach miasta działa jakaś sekta, czcząca nieznanymi, pogańskimi bożków. Sięgając po kolejną butelkę, stwierdził, że w czasach jego młodości władze szybciej zrobiłyby z tym porządek. Teraz muszą liczyć się z opinią publiczną..Jakiś czas temu do Arkham przybył pewien dziennikarz z Bostonu badający sprawę kultu. Ponoć przepadł bez wieści na bagnach okalających Dunwich, a ciała do dzisiaj nie odnaleziono.

Dalszą część opowieści przerwało przybycie pani Higgins. Staruszka zrugła męża za rozpijanie młodzieży, szybko zabrała butelkę i kazała mi wracać do pokoju. Odchodząc, słyszałem, jak pokrzykuje na męża, próbującego jej tłumaczyć, że chciał przywitać nowego lokatora, aby ten nie czuł się samotny. Uśmiechnąłem się pod nosem i stanąłem przy schodach prowadzących na piętro. Whiskey uderzyła mi do głowy o wiele bardziej, niż myślałem. Przytrzymując się barierki, powolnym krokiem dotarłem do mieszkania. Spojrzałem w górę. Zdawało mi się, że z drugiego piętra dochodzą dźwięki dziwnej melodii. Według tego, co mówił pan Higgins, nikt tam nie mieszkał, więc pomyślałem, że to skutek uboczny wypitego alkoholu. Poczułem, jakby coś próbowało wślizgnąć mi się do umysłu. Dziwny, nienaturalny zew ciągnął mnie na piętro. Zakręciło mi się w głowie, potknąłem się i upadłem. Muzyka ucichła. Niezgrabnie stanąłem na nogi. Kiedy wszedłem do pokoju, zamknąłem drzwi, padłem na łóżko i zasnąłem w ubraniu.

\*\*\*

Na suficie pojawiła się plama pleśni. Początkowo niewielka, zaczęła się rozrastać, wypuszczając swoiste macki. Oplatały pokój, wchodząc na ściany i podłogę. Nie mogłem

ruszyć się z łóżka, traciłem władzę w rękach i nogach. Mogłem tylko patrzeć, jak pleśń spowija mieszkanie, tworząc przedziwne, abstrakcyjne wzory. Poczułem dotyk na nodze. Coś lepkiego i oślizgłego otarło się o moją stopę. Chciałem ją podkulić, ale ciało nadal odmawiało posłuszeństwa. Bezskutecznie próbowałem się szamotać i krzyczeć, jednak z moich ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Spojrzałem w okno w nadziei, że świt i wschodzące słońce rozgoni pleśniopodobne monstrum, które załęgło się w pokoju. To, co ujrzałem, wywołało zimne dreszcze. Na zewnątrz rozciągał się widok na ociekające wodą miasto z zielonego kamienia. Tak olbrzymie, że jego rozmiary przekraczały wszelkie wyobrażenie. Ściany i wrota pełne były płaskorzeźb i posągów przedstawiających nieznanne istoty o monstrualnych i przerażających kształtach.

*Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn*

Usłyszałem chór ochrypłych głosów, intonujących ohydny frazę w nieznanym języku. Ponownie zadrzałem. Macki oplatały moje ręce i nogi, a jedna z nich otarła się o szyję. Kolejny raz chciałem krzyknąć. Kiedy otworzyłem usta, wilgotna odnoga wdarła się do mojego gardła. Zakrztusiłem się i próbowałem ją wypluć. Wchodziła coraz głębiej, drażniąc gardło i przetyk. Miotalem się po łóżku, wijąc się i skamłając.

*Cthulhu fhtagn*

— rozległo się w mojej głowie. Macka cofnęła się, a ja w końcu złapałem oddech.

\*\*\*

Obudziło mnie pragnienie i ból głowy. Spojrzałem na sufit, ale wyglądał tak samo jak w dniu, w którym przyjechałem. Żadnych plam pleśni ani macek. Przetarłem twarz, próbując odgonić wspomnienie śnionego nocą koszmaru. Powoli zaczynały do mnie docierać wydarzenia wczorajszego wieczora. Wypity alkohol wyraźnie mi zaszkodził. W głowie nadal szumiało i dudniło, a w gardle czułem suchość. Do tego zaczął mnie boleć brzuch. Postanowiłem wstać i napić się wody, ale kiedy tylko przyjąłem pozycję pionową, poczułem wzbierające mdłości. Wybiegłem z pokoju i czym prędzej wparowałem do łazienki. Zdążyłem dopaść do stojącej na podłodze miski i zwymiotowałem. Dość długo trwało, zanim doszedłem do siebie. Miałem wrażenie, że oprócz wypitej whiskey, zwróciłem również zjedzone na obiad żeberka, a nawet maślane bułki, którymi pani Higgins poczęstowała mnie rano.

Poczułem się odrobinę lepiej. Umyłem miskę, potem twarz i wróciłem do siebie. Przebrałem się w świeże ubrania i postanowiłem zejść na dół, by przeprosić panią Higgins za wczorajsze zachowanie. Staruszka siedziała w kuchni i kiedy zobaczyła, jak wchodzę, spojrzała na mnie pochmurnym wzrokiem. Po chwili jednak się uśmiechnęła i zaproponowała śniadanie. Podziękowałem, ponieważ nie miałem apetytu, tym bardziej po porannych żołądkowych rewolucjach.

Pani Higgins się nie gniewała. Wiedziała, że jej mąż lubi sobie pogawędzić, a przy tym wypić coś mocniejszego. Widząc moją udręczoną minę, zaparzyła mi rumianku, który, jak stwierdziła, zawsze pomagał na kaca jej ojcu. Pana Higginsa nigdzie nie było widać, najwyraźniej panował dzisiaj spory ruch w aptece.

Byłem bez sił, więc postanowiłem zostać w domu. Kiedy wróciłem na górę, nadal nie czułem się dobrze, więc poleżałem i poczytałem jedną z lektur, które zabrałem ze sobą z Bostonu.

Na dworze znowu zaczęło padać. Odłożyłem książkę, zapaliłem naftową lampkę stojącą na stoliku i zjadłem suszoną kiełbasę, która została mi jeszcze z podróży. Odczekałem chwilę, bojąc się, jak żołądek zareaguje na pierwszy tego dnia posiłek. Obyło się bez bólu brzucha i nudności. Kac już minął, chociaż nadal czułem się osłabiony.

Z walizki wyjąłem notes, pióro oraz kałamarz. Napisałem list do matki, w którym opisałem, jak mi się mieszka, jak wygląda miasto oraz że wszystko w porządku i nie mogę doczekać się rozpoczęcia zajęć. Następny list zaadresowałem do wuja Bradleya. Kolejny raz podziękowałem za poręczenia dla pana Wormgate'a, opisałem nasze spotkanie i to, że udał się w interesach do Bostonu. Wyciągnąłem trzecią kartkę papieru i zacząłem pisać następną korespondencję. Tym razem skierowana była do panny Megan Gednay, mojej sąsiadki, a zarazem pierwszej i jedynej dziewczyny, z którą się całowałem. Napisałem, że tęsknię i żałuję, że nie zdecydowała się na studia na tym samym uniwersytecie. Że liczę dni rozłąki i wyraziłem nadzieję, że ona również za mną tęskni, że ona tęskni również za mną.

Następnie zmiąłem kartkę i rzuciłem w kąt pokoju. Podeszedłem do okna i otworzyłem je, mimo padającego deszczu. Nawet nie zauważyłem, kiedy zrobiło się ciemno. Piaszczyste ulice Arkham zamieniły się w błoto. Tworzyły się olbrzymie kałuże, woda nie nadążała spływać rynsztokami. Wziąłem parę głębokich wdechów i cofnąłem się do pokoju, zamykając okno.

Zdawało mi się, że znowu słyszę muzykę dobiegającą dobiegającą z wyższego piętra. Nie potrafiłem sprecyzować, na jakim instrumencie mogła być grana. Dźwięki były dziwnie chaotyczne, a zarazem melodyjne. Napawały grozą, a jednocześnie tajemniczą melancholią. Powoli podszedłem do drzwi, otworzyłem je i wyjrzałem na korytarz. Muzyka dobiegała z drugiego piętra, ale z tego, co mówił pan Wormgate, nikt tam nie mieszkał. Chciałem podejść do schodów, ale melodia w jednej chwili urwała się, a ja usłyszałem dziwne chlupnięcie. Spojrzałem pod nogi i cofnąłem się przerażony. Na korytarzu i schodach znajdowała się dziwna, zielona, śluzowata substancja, w którą wdepnąłem lewą nogą. Kleista maź przywarła do mojego buta. Cofnąłem się i zamknąłem drzwi. W irracjonalnym odruchu spojrzałem na sufit, w obawie, że pojawiła się na nim odrażająca plama pleśni z mojego snu. Nic tam jednak nie było.

Czyżby jakieś zwierzę dostało się do kamienicy, szukając schronienia przed deszczem?? Oczyszczyłem but, rozmyślając nad tym dziwnym zjawiskiem. Była późna pora, więc starsze małżeństwo już spało. Postanowiłem następnego dnia porozmawiać porozmawiać z panem Higginsem.

\*\*\*

Wstałem rano i wyszedłem z pokoju. Na korytarzu nie było już śladu po zielonej mazi, na podłodze miejscami widać było jedynie biały nalot. Wymieniłem poranne uprzejmości z panią Higgins, podziękowałem za śniadanie i czym prędzej udałem się do apteki. Pan Higgins ustawiał właśnie buteleczki z lekami w jednej z rozlicznych szuflad. Nie wydawał się być zdziwiony moim pytaniem. Stwierdził, że dość często zdarza mu się widywać wspomnianą przeze mnie substancję, szczególnie w okresie wzmożonych deszczy. Staruszek podejrzewał, że to robota szopów gnieźdzących się w pobliskim lesie. Długotrwałe opady zalewają ich siedliska, a zwierzęta szukają schronienia w mieście. Musiały jakoś dostać się do kamienicy. Stwierdził, że on i pan Wormgate znajdowali kilka razy martwe stworzenia na piętrze, parterze i w piwnicy.

Na moje pytanie odnośnie muzyki dobiegającej z drugiego piętra wzruszył ramionami i roześmiał się rubasznie.

— Pewnie whisky jeszcze cię nie puściła, młodzieńcze. Ja też miewam czasem słuchowe omamy, szczególnie, kiedy mówi coś do mnie moja małżonka. — Po ojcowsku poklepał mnie po ramieniu. — Na piętrze od dłuższego czasu nikt nie mieszka. Parę lat temu

jeden z lokatorów, również student z uniwersytetu Miskatonic, niechcący zaprószył ogień. Dwa znajdujące się tam pokoje stanęły w płomieniach. Na szczęście pożar nie naruszył konstrukcji budynku, ale od tamtej pory pan Wormgate nie wynajmuje nikomu piętra. Ciągłe wspomina o remoncie, jednak ta kamienica to nie jedyna jego nieruchomość w Arkham, a poza tym inne interesy pochłaniają go o wiele bardziej niż wynajmowanie stancji. Co dziwniejsze, ciała chłopaka nigdy nie odnaleziono, jakby je coś wessało. Choć moja teoria jest taka, że spłonęło razem z pokojem. Później okazało się, że był uzależniony od opium. Na uczelni bredził coś o jakiś mackowatych stworach i pradawnych monstrach, które próbowały wnikać w jego umysł. Stąd też spora liczba mieszkańców Arkham jest sceptycznie nastawiona do uniwersytetu. W mieście często dochodzi do różnych incydentów z ich udziałem. Lubię cię, Clint. Wyglądasz na spokojnego chłopaka, więc kiedy zaczniesz edukację, nie daj się w nic wciągnąć.

Podziękowałem za wyjaśnienia i postanowiłem wyjść do miasta, aby wysłać napisane wczorajszego dnia listy. Pogoda odrobinę się poprawiła, nie padało już, ale niebo nadal zasnute było ciemnymi chmurami. Skryte za nimi słońce nie dawało zbyt wiele ciepła. Do tego wiał nieprzyjemny, zimny wiatr. Przez to i na ulicach Arkham było dość pusto i ponuro. Szybko udałem się do urzędu pocztowego i nadałem korespondencję do matki i wuja Bradleya. Niedokończony list do Megan podarłem i wyrzuciłem jeszcze przed wyjściem.

Następnie udałem się do odwiedzonej już przeze mnie wcześniej jadłodajni na Main Street. Była jeszcze pora śniadaniowa, więc zamówiłem sobie porcję naleśników z syropem klonowym oraz kawę. Sięgnąłem po leżący na stoliku najnowszy numer *Advertisera*. Dziennik, oprócz nielicznych wydarzeń sportowych, politycznych oraz reklam, zawierał ciekawy artykuł dotyczący wydarzeń dziejących się w pobliskim Dunwich. Otóż od jakiegoś czasu coś pożerało tam krowy oraz inne zwierzęta. Autor artykułu podejrzewał watahę wygłodniałych wilków, która najprawdopodobniej pojawiła się w okolicy.

Zjadłem i postanowiłem chwilę pospacerować po mieście. Wędrowałem spokojnymi ulicami, z rzadka mijając nielicznych przechodniów. Mimo połowy sierpnia, pogoda zmusiła mieszkańców do pozostania w domach. Wiatr był coraz silniejszy, z czasem zaczęła padać lekka mżawka. Aby uniknąć kolejnego zmoczenia przez deszcz, czym prędzej skierowałem swoje kroki ku kamienicy.



Tym razem nie było ulewy, a chmury powoli zaczęły się rozwiewać. Kiedy dotarłem na SentinelStreet, zza obłoków nieśmiało zaczęło wyglądać słońce, przyjemnie rozgrzewając powietrze. Postanowiłem przyjrzeć się kamienicy. Większość okien wychodziła na SentinelStreet. Na pierwszym piętrze znajdowały się cztery pokojowe i jedno z łazienki. Na drugim zauważyłem tylko dwa okna. Jedno zabito deskami, a okiennice były okopcone. Pożar faktycznie zostawił ślady na kamienicy, wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. Drugie okno wyglądało na nietknięte, znajdowało się bliżej szczytu budynku. Wydawało mi się, że dostrzegłem w pokoju jakiś ruch. W środku coś przemknęło, choć nie trwało to dłużej niż mrugnięcie okiem. Czy ktoś tam mieszkał? Czy to stamtąd dochodziła tajemnicza, widmowa muzyka? Wpatrywałem się jeszcze jakiś czas, ale już nic się nie działo. Wieczorem postanowiłem sprawdzić, co znajduje się na drugim piętrze.

\*\*\*

Po powrocie porozmawiałem jeszcze chwilę z panem Higginsem. Ponownie zapraszał na kieliszek whisky. Grzecznie odmówiłem i udałem się do kuchni, gdzie jego małżonka uraczyła mnie pysznym jabłecznikiem i aromatyczną herbatą. Kiedy starsze małżeństwo w końcu udało się do domu, ja poszedłem do swojego pokoju.

Postanowiłem poczekać do wieczora. Do chwili kiedy z piętra dobiegną mnie jednocześnie fascynujące i ogarniające trwogą dźwięki muzyki. Z walizki wyjąłem nóż, który jeszcze w dzieciństwie dostałem od ojca. Niewielki scyzoryk, którego ostatni raz używałem podczas naszego wspólnego biwaku nad jeziorem Ponkapoag, na południe od Bostonu. Pasował bardziej do rąk dziecka, ale mając go ze sobą, czułem się pewniej.

Zapaliłem lampę naftową i czekałem. Ściemniło się, na zewnątrz znowu zaczął padać deszcz. Krople dudniły o okiennic w przedziwnym *stacatto*. Zniecierpliwiony chodziłem po pokoju, aż w końcu ją usłyszałem.

Była o wiele głośniejsza niż poprzedniego wieczoru. Wznosiła się i falowała, gubiąc rytm, by po chwili przejść w harmonijny, tęskny dźwięk. Mamiła i przyzywała mnie. Ostrożnie uchyliłem drzwi, muzyka na chwilę ścichła. Ale zaraz wróciła do poprzedniej, nęcącej tonacji. Starając się stąpać cicho i ostrożnie, wszedłem na schody. Dawno nieużywane nieużywane, zaskrzypiały pod moim ciężarem. Pokonywałem kolejne stopnie, dopiero po chwili orientując się, że pełno na nich tej zielonej, galaretowatej mazi, którą widziałem wczoraj.

Ostrożnie wszedłem na górę, próbując zlokalizować źródło dźwięku. Na piętrze znajdowało się dwoje drzwi. Muzyka dochodziła zza tych znajdujących się po prawej stronie korytarza, a więc w miejscu, gdzie okna pokoju wychodziły na Sentinel Street, te, te, które dzisiaj oglądałem. Mocniej zacisnąłem dłoń na rękojeści nożyka, czułem pot spływający mi po czole i plecach.

Z każdym kolejnym krokiem muzyka była coraz głośniejsza. Wydawało mi się, że słyszę w niej radośniejsze, weselsze dźwięki. Była szybsza i bardziej skoczna. Podchodząc bliżej drzwi, usłyszałem również tajemnicze bulgotanie i skrobanie dochodzące zza ściany. Czyżby pan Higgins miał rację, że zaległy się tu jakieś szopy? To tłumaczyłoby skrobanie, ale skąd, do licha, dochodzi ta melodia?

Stałem już przed drzwiami. Muzyka i chrobotanie ucichło. Z wnętrza pokoju zaczęły dochodzić do mnie monotonne i bełkotliwe głosy powtarzające:

*Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn*

*Cthulhu fhtagn*

*Cthulhu fhtagn*

Chciałem wracać na dół. Działo się tu coś dziwnego i niepojętego. Nie powinienem tam wchodzić. Jednak cośw moim umyśle nakazywało mi otworzyć drzwi. Szeptalo, że za nimi czeka coś, co zawsze chciałem zobaczyć. Co odmieni moje spojrzenie na otaczający świat. Bełkotliwe słowa wypełniały mi umysł i plątały myśli. Podszedłem bliżej i złapałem za klamkę.

*Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn*

*Cthulhu fhtagn*

*Cthulhu fhtagn*

W ostatniej chwili się zawahałem. Chciałem zbiec na dół, wybiec z kamienicy, uciec z Arkham. Byle daleko stąd, od tego miejsca. Od widmowej muzyki i mącającej rozum śpiewnej frazy dochodzącej z pokoju.

*Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn*

*Cthulhu fhtagn*

*Cthulhu fhtagn*

Jednak otworzyłem drzwi i zamarłem. W środku znajdował się ogromny, bezkształtny, biały, polipowaty stwór. Pełen macek, podobny do ośmiornicy łeb istoty wpa-

trywał się we mnie błyszczącymi ślepiami. Umysł wypełniła mi wizja starożytnego, kamiennego miasta. Pełnego monolitów i grobowców, skrytego na niedostępnym dnie oceanu.

*R'lyeh.*

*R'lyeh.*

*Cthulhu fhtagn*

Rozległo się w mojej głowie. Widziałem, jak miasto powoli wynurza się z morskich odmętów, ukazując swój ogrom. Z jego wnętrza wyłaniały się pokryte pleśnią kształty o ogromnych nietoperzowych skrzydłach. Wzbiły się w powietrze i rozpierzchły we wszystkich kierunkach.

Macki oplatały mnie, a ja nie mogłem się ruszyć. Straciłem czucie, mogąc jedynie wpatrywać się w ogromną istotę znajdującą się w pokoju. Wydawało mi się, że stwór zaczyna puchnąć i zwiększać objętość. Miałem wrażenie, że budynek drży, a ściany zaczynają pękać.

Nie czułem fizycznego bólu, jedynie wdzierające się w umysł oślizgłe obrazy pradawnych stworów i bóstw, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Które właśnie wydostały się ze swojego więzienia.

Zobaczyłem skalistą plażę, na którą z morskich głębin wychodziły przedziwne istoty. Dominował wśród nich kolor szarozielony, ich ciała były oślizgłe i lśniące. Grzbiety pokrywały łuski, głowy przypominały ryby z wielkimi, wyłupiastymi oczami. Po bokach szyi widniały skrzela, poruszające się w rytm oddechów, a długie szpony połączone były błoną pławną. Korowód przedziwnych rybo-ludzi wydawał się nie mieć końca. Ich marszowi towarzyszył złowieszczy rechot, ujadanie i inne nieartykułowane dźwięki.

*Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn*

*Cthulhu fhtagn*

*Cthulhu fhtagn*

Czułem wdzierającą się do mego umysłu pradawną siłę, której nie mogłem się oprzeć. Chłonałem przekazywaną wiedzę, nie mogąc uwierzyć w rzeczy przede mną odkrywane. Trwało to kilka minut. Całkowicie oddałem się rozgorączkowanej ekstazie ukazywanych mi obrazów. Po chwili wszystko się skończyło, a ja zemdlałem.

\*\*\*

Ocknąłem się na podłodze, tuż za progiem pokoju na piętrze. Wstałem i rozejrzałem się. Wnętrze pomieszczenia było puste, od lat w nim nie sprzątano, a nieliczne meble pokrywały grube warstwy kurzu. Panował dziwny, rybi zapach i zaduch dawno nie wietrzonego miejsca. Mój umysł był klarowny i rozjaśniony, choć chwile zajęło mi poukładanie sobie wydarzeń i wizji, jakich byłem świadkiem. Teraz zrozumiałem, czemu muzyka mnie wabiła. Miałem przygotować ludzi na nadejście Przedwiecznych Bóstw, które właśnie przebudziły się z wieloletniego uśpienia. Zostałem akolitą mającym głosić światu ich powrót.